

Wspomnienia z dnia wyzwolenia (3 maja 1945)

Data publikacji: 3.05.2021 17:00

3 maja ma ogromne znaczenie dla całego Śląska Cieszyńskiego. Tego dnia w 1945 roku do regionu wkroczyły oddziały wojska radzieckich, w minioną noc wycofały się wojska niemieckie. Był to dzień wyzwolenia Śląska Cieszyńskiego.

zdjęcie poglądowe/ arc.ox.pl

Zgodnie z dawnymi przekazami, dzień, w którym na Śląsk Cieszyński wkroczyły wojska radzieckie, był mglisty i deszczowy. Kolumny czerwonoarmistów maszerowały przez cały region, długość pochodu była niesamowita – żołnierze maszerowali nieprzerwanie przez kilka godzin, zanim miejscowa ludność miała szansę dojrzeć koniec tego niesamowitego pochodu.

Po południu 3 maja 1945 roku przez miejscowości Śląska Cieszyńskiego przejechał pociąg osobowy, udekorowany flagami polskimi i radzieckimi. Dla wszystkich był to znak – skończyła się II wojna światowa.

Poniżej publikujemy wspomnienia p. Czesława Stuchlika, który był świadkiem tych wydarzeń (pisownia oryginalna).

DZIECINNE WSPOMNIENIA

Było już ku wiosnie 1945 roku. Ale wtedy nie wiedziałem, że istnieje jakiś kalendarz w którym są zapisywane uływające roki. Ale wiedziałem, że jest wojna, że Rusi biją się z Niemcami, ale o co się biją, tego mi nikt nie powiedział, bo też chyba nikt tego nie wiedział. Z podsłuchanych rozmów rodziców, ojca z dziadkiem i wujkami, czy sąsiadmi, słyszałem, że strzelają do siebie z gwerów, maszynogwerów, kanonów i tanków-czołgów; a naszych ludzi wywożą do Reichu na roboty, przychodzą w nocy do domów i strzelają do Polaków. Przeważnie przed południem z Cieszyna było słychać syrenę co oznaczało Fligeralarm i, że należy się kryć, a za chwilę słychać było ciężki, głęboki warkot samolotów. Pierw nadlatywało kilka szybkich myśliwców, a po chwili ciężkie bombowce. Wtedy nie wiedziałem, że te zgrupowanie nazywają się po wojskowemu eskadrami. Ludzie mówili, że lecą na Stalingrad, a wcześniej mówili o wielkich bitwach pod Leningradem. Rodzice pouczali nas, że w ten czas, jeżeli nie zdąży się dobiec do domu, należy kryć się pod drzewami, albo położyć się na ziemi. Póki to wszystko było gdzieś daleko, to wydawało się, że tu front nie dojdzie, ale kiedy, pod wieczór i w nocy słychać było granie stalinowych organów, to już nie było żartów. Ludzie mówili, że front jest już w Strumieniu, później w Próchnej i Kończycach i że tam ludzie musieli opuszczać swoje domy i szukać schronienia u innych ludzi w sąsiednich miejscowościach. W piwnicy pod domem, nad kojcani z ziemniakami ojciec zbił z desek prycze, aby my, małe dzieci, mogli tam spać. Był też tam mały piecyk i zapas węgla.

Pewnej niedzieli, po południu, na drodze od Cieszyna, na siwym koniu, pojawił się niemiecki oficer, /albo podoficer/ i zatrzymywał się przy każdym domu, wchodził do niego i nakazywał, aby opróżnić stodoły, bo oni tam postawią swoje konie. Następnego dnia w starczynej stodole stały 3 pary koni. Ten pierwszy, jak nam powiedzieli żołnierze, nazywał się Sultan, był wielki, wysoki, podobnie jak następne. Takich koni nie miał nikt z

pogwizdowskich gospodarzy, ale i tak było ich nie wiele, bo zaraz na początku wojny Niemcy zabrali /zarekwirowali/ konie i krowy. Świnie też były rejestrowane, a kiedy już wyrosły i je zabito to połowę tuszy musiało się oddać dla Niemców. Żołnierze chcieli nas posadzić na Sułtana, ale myśmy się bali, nie wiadomo czego bardziej, czy konia czy żołnierzy. Dla zabawy dali nam nowiutki, z żółtej i pachnącej garbnikami skóry, oficerskie siodło. Ojciec przymocował je do taboretu, a my siadaliśmy na nie udawali, że „rajtujemy” na prawdziwym koniu. Żołnierze spali w starczynej kuchni i w sieni, na podłodze, na słomie. Rano po nakarmieniu, napojeniu i oczyszczeniu koni, żołnierze myli się zimną wodą przy studni, czyścili buty i mundury, a później do specjalnego blaszanego wozu na gumowych kołach ładowali paszę dla koni, bochenki wojskowego chleba, konserwy i codziennie rano gefrajter Heinrich swoją parą koni wioził ten prowiant oraz za wozem przyczepioną kuchnię polową z eintopfem do swych kolegów zaległych w okopach na prócheńskich polach. Wracał po południu, czasami już pod wieczór. Coraz częściej i teraz już o różnych porach dnia, ale najczęściej nocy słychać było kanonadę ciężkiej artylerii i granie „stalinych organów”, jak powszechnie nazywano „katusze” – nowoczesną rosyjską, raketową broń, której Niemcy ogromnie się bali. Od pewnego czasu, od strony zachodniego nieba, późnym wieczorem i nocami coraz częściej słychać było ciężki warkot amerykańskich bombowców, które nadlatywały bombardować Ostrawę. Ziemia drżała, a smugi reflektorowych świateł artylerii przeciwlotniczej krzyżowały się na nocnym niebie. Światła na spadochronach, niczym bożonarodzeniowe choinki wskazywały cele dla alianckich samolotów. Wszyscy byli ciekawi jak długo to jeszcze potrwa, kiedy skończy się ten wojenny koszmar. Ale kiedy gefraiter Heinrich, coraz częściej, w kotle polowej kuchni przywoził z frontu połowę eintopfu, to ludzie mówili, że z Niemcami jest źle, że już tymu koniec widać. I rzeczywiście pewnej nocy „nasi” żołnierze, podobnie jak w innych, sąsiednich domach w pośpiechu zaczęli opuszczać swoje tymczasowe kwatery w całym Pogwizdowie i w kolumnie z taborami maszerować w kierunku Cieszyna. W tym pośpiechu, „nasi” żołnierze zapomnieli zabrać kociół z kuchni polowej. Zapomnieli też o siodle, ale w ostatniej chwili ojciec im go oddał, bo nie dowierzał, czy aby Niemcy nie powrócą, gdyż wiedział, że poprzednio, front ten kilkakrotnie się cofał. Obity kociół, jako pewnego rodzaju swoistą pamiątkę, w piwnicy swego domu, przechowuje młodszy kuzyn.

Kiedy ostatnie oddziały opuściły Pogwizdów, saperzy niemieccy wysadzili most drogowy na potoku w Jodłowcu. Do wysadzenia przygotowany też był most kolejowy, ale z nie wiadomych powodów do jego wysadzenia nie doszło, bo jak się później po wielu latach okazało, zapobiegli temu dwaj młodzieńcy – bracia Emil i Edwin T. wyrwijąc lonty od zapalników od założonych ładunków wybuchowych.

A ten dzień, to był już w maju, a dzień jego trzeci. Mglisty poranek, choć rześki, mokry był, bo siąpił deszcz. Od strony Kaczyc przybyli radzieccy żołdacy - czerwono-armiści (krasno armiejcy). Z pepeszkami przewieszonymi przez piersi, workami, zamiast żołnierskich plecaków na plecach, od centrum Pogwizdowa, polną drogą tzw. tyczonką, maszerowali do późnego popołudnia w stronę Cieszyna. Część tych żołnierzy, jakiś oddział, zajęła budynek przedwojennej Straży Granicznej. Kiedy ponownie ustalono granicę na Olzie, żołnierze tej jednostki patrolowali tą granicę i byli załóżkiem przyszłych Wojsk Ochrony Pogranicza.

Po południu ojciec zaprowadził nas na przystanek kolejowy w Pogwizdowie, aby po sześciu latach powitać polski pociąg, a z nim wolność i Polskę. Nigdy przed tym tam nie byłem, bo nas nigdzie nie zabierano. Pierwszy raz, z bliska widziałem wielką lokomotywę. Pociąg przyjechał od strony Kaczyc, parowóz udekorowany był polskimi chorągwiemi, nie pamiętam czy były jakie przemówienia. Później poszliśmy na nabożeństwo majowe. Do

kościół przybyło tyle ludzi co w największe święta. Śpiewano „Te Deum laudamus” i „Boże coś Polskę”. Ludzie ze szczęścia płakali i żarliwie się modlili.

Strumień, Chybie, Pruchna, oboje Kończyc, Ochaby, Jasienica i Jaworze były tym przedpolem co najbardziej ucierpiały, aby innym miejscowością przynieść wolność. Przeorana pociskami ziemia tych miejscowości, wypędzeni ludzie ze swoich domów, spotykane do dziś niewypały, bezimienne mogiły i groby na polach i cmentarzach, a także ten obity kocioł z kuchni polowej są tego do dziś świadkami i pamiątkami.

A ja byłem szczęśliwy, że nie musiałem iść do niemieckiej szkoły, której się ogromnie bałem, ale po dziś żal mi tego oficerskiego siodła, bo tak by mi się w późniejszych latach przydało.

Czesław Stuchlik

Pogwizdów